

Zofia Mikuła

**KURIOZALNIE
Z
SZYPUŁKAMI**

© Copyright by Zofia Mikula, 2008
z.mikula@wp.eu

Opracowanie graficzne:
Zofia Mikula

Autorka grafik:
Małgorzata Jaroma

Korekta:
Leszek Żuliński

ISBN 978-83-927779-0-8

Druk:
MAJA-DRUK
Zakład Poligraficzno-Wydawniczy
info@mikdruk.pl

Warszawa 2008

*Mojej Mamie
– Zofii Dąbrowskiej
z Jarczewskich*



kuriozalnie

*wiatr Andaluzyi jest równie gorący
jak zimny jest wiatr*

Spotkanie z Faustem

*Mądrość jest nędznym ogryzkiem w sztuce życia,
sztuka jest utrefioną kurtyzaną mądrości
i tylko życie,
nagie życie
warte jest prawdziwego grzechu
buntu,
szaleństwa.*

Leszek Żuliński *Faust pisze do Petrarki*

Spotkałam Fausta, stał w oknie książki, w wierszach
zamykał Małgorzatę, z nią pokusę i pragnienia.
To Małgorzata włożyła złoto w jego włosy.
Rozedrganym wnętrzem ud każdej z siwych nitek

nadała barwę młodości. Zjawiała się bez uprzedzenia
i została na rok, który cały mieścił się w jej pępku;
za małym, by unieść przyszłość i zbyt słodkim,
by nie wracał głodem pożądania. Faust nie próbował już

naprawiać siebie, każda z prób coraz bardziej
zbliżała go do piekieł nierealności. Patrzył w głąb
trzymając w ręku kosmyk włosów Małgorzaty
– ustawicznie wymykał się spod zapisanych kart.

Nie przemieni go w alchemiczny eliksir.
Schował pukiel w ostatni nienapisany wiersz
i wrócił do swojego królestwa,
ściskając w dłoni kamyk z sandała Małgorzaty.



Penelopa

Kogo wypatruje *postać przy oknie*
monotonna jak fale rozbijające się o okręt?
Odpływ czasu zatrzymał chustkę na parapecie.

Czeka, milcząco wpleciona w żagiel
połyskujący piaskową bielą
brzegu odbijającego się w prostokącie
Dali.

Gościniec

Pomiędzy szeptem, a milczeniem
nalewam ciebie w kielich,
przybliżając oddalenie.

Stapia się granica realności,
płyniesz za siatką drzew
dotykalny jak słońce
na rdzawych murach twierdzy.

Wiatr Andaluzyj jest równie gorący
jak zimny jest wiatr.



Zmącić białość orchidei

Zakwitła niespodziewanie,
kusząc
harmonijną subtelnością.

Pod spojrzeniem przemykała
doskonałość.

W tym stanie wszystko jest piękne.

Kobieta i mężczyzna

Nie podpisywaliśmy cyrografu,
podobno *poezja i anioły są w nas*.
Widziałam zaprzędane,
pośród nich kabalistyczne akty
kreślone na mokrej politurze krągłości.

Osobliwy pakt zatopiony w żywicy.



Kuriozalnie z szypułkami

W Wenecji otworzyli letnie ogrody,
muzyk zasiadł do pianina.

Czekałeś na mnie zawsze niecierpliwie
jak na pierwsze truskawki.
Roześmiana podawałam dojrzałe, a ty
zachłannie wpychałeś do ust z szypułkami,
jakbyś chciał nasycić się na wieczność.

Dzisiaj z zaciekawieniem wpatrujesz się w obraz,
a przecież oboje znamy tę parę.
Tylko chłopiec na płótnie jakby posiwiiał.
Zamyślony popija wciąż letnią herbatę.

Truskawki tańczą ostatnie tango z szypułkami.

Karier

Boisz się siebie
jak tamtej nocy.

Gnały konie przez dolinę,
galopem po wzniesieniach,
by w ciszy
przy wodopoju
pić i pić.

Boisz się
tego pragnienia.



Obietnica

Mówiłeś:
zadzwoń,
kiedy zapragnę kobiecości.

Cisza.

Zgubiłeś telefon,
a może myśli

– o mnie.

Taniec chochoła

Mrok
stuka o szyby,
gubiąc w chocholim tańcu
niespełniony sen.

Ciszę ciebie wołam.



Verdigris

Kiedy przyjdzie wiosna, będziemy szli
alejką Królewskich Łazienek.

Obiecałeś mi spacer, weźmiemy orzechy.
Pamiętasz to drzewo nad stawem?
Wczoraj podwiązałeś złamaną gałązkę;
przerosło mnie, ciebie, nasze lata.
Hedera helix oplótła pień pamięcią,
ukrywając oczekiwanie w zieleni.

Rudy wiewiórek harcuje z basią
– bierzesz mnie za rękę.

Nielatwo zatracić cechy strzelca

Cierpliwie nawijałeś mnie na dłonie
długimi palcami ciepła.

Powtarzałeś:

najważniejsza w życiu jest czułość

i wysypywałeś ją jak jabłka

z przepelnionych koszy.

Toczyły się wolno od jesieni do jesieni.

Coraz ciszej między mną a tobą.

Oczy kiedyś głodne słów

delektują się milczeniem,

napinają źrenice, by ustrzelić nowe.

Przecinasz miąższ – jabłoń drży.



Pinokio

Kłamstwa
pachniały goździkami.
Głodna łapczywie chwytalam
każdy kęs nibymiłości.

Noc cudów nie zatańczy
drewniany pajacyku.

Ulica dłoni

Oddałam cię, zostawiając na ulicy
Ti voglio bene.

Chodziły po niej pocałunki
od numeru pierwszego strony nieparzystej – lewej,
do numeru dziesiątego strony parzystej – prawej.
Ti voglio bene – powtarzały – nie wyjeżdżam do Australii.
Spotkamy się, tam gdzie bywał Norwid,
wypijemy kawę, porozmawiamy o poezji.

Czy można odnaleźć się na rozdrożu,
gdy w tłumie przeznaczeń brakuje dróg.

Kiedy powracam na ulicę,
małe przezroczyste kulki pokrywają chodniki.
Tylko nocą *Ti voglio bene* ukrywa twarz Pierrota.

Zawsze byłeś jej.



Wciąż szukasz deszczu

Z łatwością przekręcasz klucz,
choć nie wiesz, na którą stronę
otworzą się drzwi, znajdujesz wyjście.

Bawisz się sam ze sobą w chowanego,
chcąc odnaleźć w cudzym domu Alicję.
Ona od dawna po drugiej stronie lustra.

Zaglądasz w mokre szyby samochodów
i nadal wierzysz w nieskończoność
kropel deszczu spadających na twarz.

Alicja z każdym deszczem zmienia imię.

Wierzba

Nikt nie gwarantował wierzbie
miejsca wyrastania.
Widziałam wśród dzikiego, parzącego ziela,
płaczącą.
Nabrzmiąle wypustki chowała w zaroślach,
gdzie ciemno i wilgotno.
W niszy jej konarów zagubieni
spijali miękkość i lekkość z gałęzi.

Chłód sprzyja zarówno życiu,
jak i umieraniu.



Tak musi być

*Nic darowane, wszystko pożyczone.
...zmuszona sobą zapłacić za siebie*
Wisława Szymborska

Perfekcyjnie potrafiła związać ogień.
Kukła bez sznurków
tańczyła tak, jak jej zagrali.

Gdyby darowali choć jeden,
otulając nim kręgi
pobiegłaby w błękit.

Lecz tam nie wpuszczają potępieńców.

Spektakl

On kochający do granic samotności.
Ona wpleciona w milczące lata.
Każdego roku, mijając siebie,
w to samo miejsce przynosili kwiaty.

Gerbery wiedły pozornie,
pozwalając, by goździki pozostały
dłużej niż niepoznane słowa
i lata pasujące się z miłością.

Wygrali jeden wieczór.
Paradoksalnie
masz być szczęśliwy.





z szypułkami

*obcas złamany,
a noc nadal tańczy*

Miasteczko niedostosowanych

Za zasłoną z krat
pieczołowicie zbierane kosteczki.
Łamigłówka
mozolnie układana wśród nocy,
z nastaniem dnia rozpada się jak domino.

Szklana tafla kusi ramionami wolności.
Młoda ćma wzlatuje w kartonowe ciepło.
Trzepocząc skrzydełkami wierzy

– motyle nie rodzą się z poczwarki.

Bezradność

Martynce

Ścigana czerwoną plamą z asfaltu,
nastoletnia Marii
z obawą podaje rękę.

Nie potrafi kochać.
Nie potrafi ufać.

Obcina krótko włosy,
by nie wołały przytul.

Zostawiliście mnie.



Za szafą

Wczesny świt,
wychodzisz.

Gwizd pierwszego pociągu
przecina sen siedmiolatka o domu
z balkonem, chlebem
i dużą szafą.

Za szafą jest cisza.
Za szafą jest spokój.

Wrócisz będzie masło na chlebie
i cukierki owocowe:
czerwone, zielone, pomarańczowe
– słodkie.

Spóźniasz się mamo,
czy zegar się spieszy?

Pijany stukot do drzwi
– on wrócił pierwszy.

Za szafą cisza.
Za szafą spokój.

Jawa i sen

Matce

Smukła dłoń
otulając białą ostatnie pożegnanie,
zapukała nieśmiało.

Odjechali w dal
– biała dłoń,
– białe lata.

Dziewczynka nie rozumiała.
Wyrwana ze snu,
może z przeznaczenia.

marzec 2000



Naiwnością małego księcia
ufałaś światu.

Idealy odeszły.

Samotna wśród ludzi
pijesz życie

puste po brzegi.

Cyklicznie pod rękę z nią

Poranek, ciało wciskasz w siebie,
naciągasz zmiętą pościel.
Znowu jesteś poza, a może z nią.

Tłuczesz klawisz z napisem drzemka,
jeszcze moment toniesz w jej objęciach.
Z wysiłkiem zbierasz sekundy, by wyjść.

Na ulicy drwiną przeczesuje włosy,
dłonie wsuwa pod wygniecioną marynarkę.
Do południa pozostaje na uboczu.

Nastolatek na moście
prowadził dialog z Ikarem.

Kupioną gazetę wyrzucasz do kosza.
Zmierzch nie rozwiesił jeszcze cieni na drzewach.
Perfidna dziwka ciągnie do łóżka.

Płacisz.



Z żółcią w tle

Płaty kory przekształcają się,
myślołapki obejmują
nazwania obojętnością.

Tylko brzoza nie budzi wątpliwości.
Przekaznik pozytywnych wibracji
z odcieni zbiera energię,
nie oscyluje
pomiędzy jestem a nie.

Ukryty wśród drzew
smakujesz optymistycznie pastylkę.

W pozycji embrionalnej

Skulonym dniem łasisz się do snu,
chcąc ograniczyć dostęp do doznań.

Ciemne rolety, miedzioryt,
postać z dzieciątkiem.
Nimb, oddalając zezwierzęcenie,
przyzwala na półsen.

Zanika powłoka kundla,
powraca iluzja bycia homo sapiens.



Imię jak rzeka

*Umiera się nie dlatego, by przestać żyć,
lecz po to, by żyć inaczej.*

Paulo Coelho

Powoli zmywam makijaż.
Nie czuję nienawiści.
Na imię mi Weronika.

Zaborcze słowa i gesty skruszyły stabilność.
Dążenia spadają zielonym do dołu
– naiwne pomyliły światy.
Nie odwiedzajcie mnie w szpitalu złudzeń
– mówiłam do nich, nic nie rozumiały.
Ambicja zamknięta w ciasnej przestrzeni
nigdy nie zdoła wybić się ponad przeciętność.
Niezależność jest utopią.
Przekroczyłam Lete suchą stopą,
zatapiając tylko marzenia.
Wydalona za mury schizofrenii,
kołyszę biały cyprys.

Co jest dobre, co złe?
Co jest prawdą?

W pustej sali ktoś gra na pianinie.
Nie proszę o azyl.
Na imię mi Weronika.

Sztuka latania

W młodości próbowała latać
– z okna drugiego piętra.

Zawsze miała trudności z nauką.
Najlepiej wychodziło jej zwiedzanie
sal operacyjnych i zbieranie blizn
– mała za uchem, nieco większa
poniżej pępka i pionowa obok.

Dzisiaj odwiedziły ją dzieci,
pytały o stan konta

– zdobyła nową.



Wizytówka

Z okna widać obłoki i komin.

Każdego roku białe myszki
prosiły do tańca małe pająki.

Wraz z deficytem procentów rosły.
W delirium.

Ona,
myliła kroki do sklepu.
Trzeba było w łeb i o ziemię.
Dziwka,
miała za krótkie włosy, by o ścianę.

*...nikt tu nie jest winny,
myślę,
że nie stało się nic.*

Pod powieką
nikt
graweruje monogram człowieczeństwa.

Jadąc mostem

Nie lubię wody
i pędzących samochodów.

Nie lubię wody
i zamkniętych pomieszczeń.

Nie lubię wody,
kiedy wąską stróżką
sący się do mojego strachu.

Fale napierają od strony ognia.
Otworzą się,
zamykając przestrzeń.



Alienacja

Bal głodnych pasji rozpoczął się wczoraj.
Obcas złamany, a noc nadal tańczy,
czarne pończochy zsunięte do kolan.
Kryją już kostki, sunie cień szarańczy.

Roztańczone pasje szyderczo, złowieszco,
zęby wyszczerzone pokazują z wdziękiem.
Porwane pończochy uduszą to ścierwo.
Choć nogi zranione, na kamieniach klękne.

Jedwabną chustą przykryję pomniki,
włosy rozpuszczę z wiatrem, niech polecą.
Przez srebrne lata bal się kończył niczym,
sen nocy błyszczał lodowątą świecą.

Lodu nie zapalę, jak ufać płomieniom,
wciąż łaknące syczą satanicznym dźwiękiem.
Gdy fałszywy cielec na wolność spopielą...
Choć nogi zranione, na kamieniach klękne.

Pyl

Polecieć z wiatrem,
ujrzeć światło,
wirować we wszechświecie.

Już słyszę.
Szum dolin kołysze mnie.

Dzień to noc.
Noc to sen.

Rozsypcie prochy wśród gór.



Wiersz o jesieni

Tak naprawdę, to nie ma jesieni.
Za oknem ciepło i słonecznie.

W pokoju starość
rozrzuciła na podłodze wełniane skarpety,
chowając pod klepkami znaki dzieciństwa.
Spacerują unosząc to jedną, to drugą
powiekę przeszłości.

Konik na biegunach rozbijał lalkę
i porcelanowe oczy.

Jutro otworzą drzwi.

Garnitury w białych rękawiczkach,
wyniosą na ramionach wózek
z chłodnymi nocami.

Pamięć

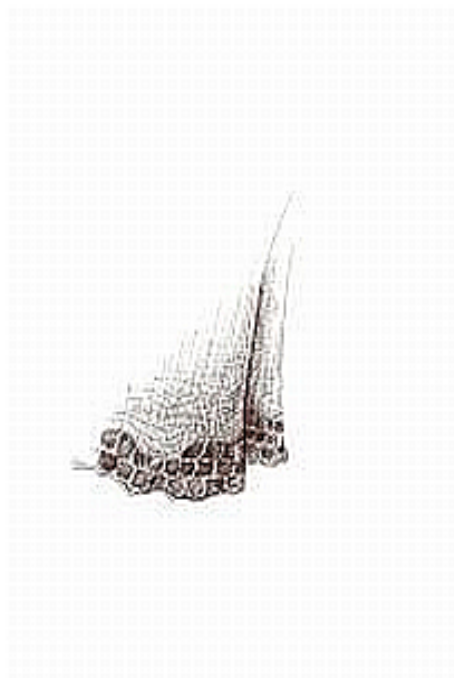
Janowi Pawłowi II

Nie potrafię *mierzyć wysokości traw*,
przerastają mnie, tak jak płomień
świecy zapalonej w oknie.

Czuwałam wraz ze światłem
pełgającym po gałęziach dekalogu,
prosząc o cząstkę Jego wiary.

Wątpiłam i ufałam.
Szkliste korowody modlitw
spadały na ziemię,
On szedł prostą drogą
– ku Bogu.

Warszawa, 2 kwietnia 2008



Przed świtem

Matce

Siedzisz nad maszyną, w ręku bluzka
dla siedmioletki, jutro pierwszy września.
Jeszcze ostatnie wykończenia:
kołnierzyk, guziki. Trzecia nad ranem,
próbujesz skrócić dwie godziny snu.

Wraca rok trzydziesty dziewiąty,
ucieczka z Warszawy, kolejne porody.
Nie prosisz godziniarza, by zatrzymał czas,
śniadanie dla dzieci i biegiem. Moje nogi
zawsze zazdrościły twoim krokom.

Na pierwszą komunię uszyłaś sukienkę
z falbankami nieprzespanych nocy.
Pośród wystrojonych małych dam
lśniła laleczka z jasnymi lokami.
Pozostał odcisk dłoni na lamówce.

Potem ślub w sukni koloru *écru*, z koronką
oczu wyblakłych od fastrygowania bieli.

Postrzępiły się lata, wykrojone z haftu richelieu.

Zwyczajna wiadomość

Krysi Woźniak

Zapewne śpisz jeszcze, moja przyjaciółko,
a ja czytam naszego znajomego poetę.

Tam, pod koszulą na miarę twardziela
usiadł chłopiec.
Bawi się słowem jak niegdyś żołnierzykami.
Nieustannie stacza bitwę z wyobraźnią.
Oddziały przeszłości i dnia dzisiejszego
nacierają na papier.

Mały jak my, dziewczynki
zaplatające wersy z wikliny dzieciństwa.

Czytam.
Po kartach idzie życie.



Pod czarnym kapeluszem Grochowiaka

„Pomidor” z dorożką
zatrzymuje się przy pałacowym ganku.
Z powozu wysiadają literaci;
jedni w piżamach prozy,
inni ubrani wytwornie w szlafroki poezji.

Pies przekopuje klomb.
Wyczekiwanie gęstnieje.
Z otwartych okien wypływają
cienie maszyn do pisania,
razem z przybyszami wtapiają się w staw.
Pies wciąż przekopuje klomb.

Dozorca sprząta ślady woskowych figur i liście.
Na ścieżkach rozłożą nową epopeję.

Byłam w Oborach.

Literatka

Z fusów kawy nie rozkwitnie kwiat różowej wiśni.
Półcień nie zastąpi chłodu lipowego drzewa.
Dejanirski gorset złoto liczy.

Klezmer!





lirycznie

*wszystkie nieskończoności
zatrzymane,
by stać się nieskończonością*

Tak naprawdę to nic o mnie nie wiesz

Na spierzchniętych wargach
masz jeszcze smak kawy i moich oczu.

Nie można żyć bez tlenu, więc wciąż oddychamy
zimnem przyciągania, choć moim jest
biegun północny, a twoim południowy.
Słońce wchodzi tak samo,
regularnie zsyłając zaćmienie
na każdy poranek i zmierzch.

Zbieram posrebrzane etykiety, wiedząc
że nigdy nie wyjdziemy razem ze snu.

Opus jesienny

Zabierz mnie w jesień,
tam rdzawolistne otulają kolorami.
Złączeni rozszumimy czas.

W parkowej alejce
stopy tańczą opus dziewiąte Chopina.
Sam Fryderyk gra dla nas nokturny.

Zbierz mnie w jesień.
Zamykając w pięciolinii dłoni,
nie pozwól, by liście opadły zbyt szybko.



Plaża w Gąskach

Promień odbity w kropelce wody,
krzyk mew zbudzonych tnie bliskość dali,
na horyzoncie biały koń płynie.

Fantasmagoria?
Wciąż więcej.
Dalej.
Mnogością światła rozprasza ciszę.

Tajemny powiew tchnął splot słoneczny.
W poświacie brzasku
kolory planet współodkrywamy.

W kolorze êcru

Twoje imię smakuje jak
herbata pachnąca wanilią.

Tyle niewypowiedzianych słów
przepadło niepostrzeżenie,
gdy usta milkły z nadmiaru
wilgotności zapłątanej pomiędzy.

Za szybą ćma.
Podglądała ukradkiem
jak zbierałeś cyrkonie
z kwiatów êcru,
by potem zmieścić w dłoniach
te dwie.

W wieczność zmieniały się rozstania.



Limany

Ja,
ty,
my,

straciliśmy rachubę,
licząc nagość.

Lekko słonawy smak
spijały wargi.

Potrafią liczyć
do nieskończoności.

Nasze

Miesiące, które zaczynały się jesienią,
nie kończyły latem.

Ciepło.

Znieruchomiała kropla na policzku,
oczekiwanie warg.

Wszystkie nieskończoności zatrzymane,
by stać się nieskończonością.

Moje niewypowiedziane
słowo.



Angielski lord
światu chciałaby wykrzyczeć
– oszczędny w słowach.

Drżąco

Dłoń dotknęła twarzy
– nieco zamyślona.

W czerwień warg
pobiegła,
bezpowrotnie pragnąc.

Policzek znów moknie.



Jestem duża,
kiedy płynę przez dzień.

Wtulona w naszą noc,
maleję do kobiecości.

Abisalnie

Onieśmielona tobą,
stoję naga.

Wodorostami omotaj.
Zatop.
Pragnę spaść.

Ja, topielica,
pociągnę ciebie za sobą.



Tête á tête na Grochowskiej

List króciutki chcę napisać dziś do pana,
takie małe zaproszenie tête á tête.
Co mam zrobić, już doprawdy nie wiem sama.
Może jutro ja pomyślę chwile dwie?

Ja się w panu chyba nieco zakochałam,
bo te wiersze, ptaszki, kwiatki. Pan to wie.
Nigdy jeszcze ja nie byłam taka śmiała,
to ta wiosna ośmieliła dzisiaj mnie.

Pan to sprawił, że rozkwitam zmysłowością.
Jak pąk róży, co zapachy wonne śle.
Całą Pragę zachwyciłam powabnością.
Wszystkich mężczyzn. A czy pana trochę też?

Gdy odpowiedź pana będzie pozytywna
i gdy zechce pan się spotkać tête á tête.
Na Grochowskiej, gdzie *Kawiarnia Artystyczna*,
czekam w piątek, siedemnasta zero pięć.

Sikorka i kochanek

Nocą chcesz kochać mnie.
A czemu nie w dzień?

W dzień jest piękniej, radośniej.
Patrz, sikorka na sośnie.
Przez okno nas widziała
i ona by tak chciała.

Ta płocha bezwstydnica
ciałem się twoim zachwyca.
Firanką nas zasłonię,
albo nie, pójdę do niej.

Opowiem jej cichutko
jak całowałeś w uszko.
I wszystko jej opowiem,
a niech zazdrości sobie.

A może nie.
Cyt!
Nic jej nie powiem.



Pan mi mówisz, że ja szalona jestem

*Wariat, to lepszy gość – Gałczyński pisał.
Panu komplementować się zachciewa!
Mistrzem Konstantym się nie wymówisz,
bo kto, gdy księżyc w nowiu, ziewał?*

Pomylił czasy, miejsca, lat ujął,
północ o siedemnastej pięć wybiła,
w sennej kafejce gondolier Leon
śpiewem nas do Wenecji wzywał.

Pan – angelologia i liryka,
z dżentelmenerią niespotykaną.
Pan jest tak cudnie niedzisiejszy.
Pana i mnie zaczarowano.

Bezbronna

Nie obiecuj. Przecież nie możesz dotrzymać.
Dłońmi lekko przytul – zmierzch oczy zasłania.

Nie wiesz, czy pozwolę resztki dnia zatrzymać.
Niech trwa złota mila, choć odpłynie z rana.

Nie odchodź ode mnie. Ciepło twego ciała
nie pozwala myślom układać się w słowa.

Krok do przodu stawiam, by ponownie wracać.
Zamykając oczy, nie wzbraniam całować.



Bryza we włosach

Jeszcze piasek mi pozostał w jasnych włosach,
które wczoraj dotykały twojej twarzy.
Jeszcze powiew słonej bryzy, słońce niosłam,
biegnie śmiechem mew z mrzeżyńskiej promenady.

Jeszcze czuję dziką wolność morskiej piany
– wczesnym rankiem ochładzała gołe stopy.
Kuter nestor znikał w rozhuśtanej dali,
chciałam myśli wśród zbudzonych fal zatopić.

Tam, gdzie wydmy połączone wiatru ściegiem,
ramionami ciepło kolan otulałam.
Na brązowej dłoni promień. Nie od ciebie.
Spalił się, topniała w wydmach niemo fala.

Ty daleko, nie zatrzymasz mroźnej mocy,
oszroniona piaskiem toczy białą pręgę.
Ptaki morza lecą kluczem krzyk utopić.
Wietrze nie wiej, przecież wcale ja nie tęsknię.

Słońcem

Zakwita ponownie,
kusząc słodyczą zebraną z lata.

Wrześniowa truskawka
– kobieta czterdziestoletnia.





dwugłos krytyków

*Zbigniew Jerzyna
Leszek Żuliński*

Napój miłosny i mówienie szeptem

W tej interesującej i wartościowej książce poetyckiej na zasadzie prawomocnej istnieją dwie poetyki. Pierwsza, to są wiersze białe, oszczędne w doborze słów, pełne nieoczekiwanych spięć dramatycznych, „w biegu naszej mowy” nagle zatrzymanych myśli, przez niedopowiedzenie ledwo dotkniętych tajemnic, dalekich skojarzeń, czy wreszcie bardzo świeżych poetyckich obrazów. Druga, to wiersze w tradycyjnym zapisie, często sylabotoniczne z rymami i asonansami. Jest w nich wyraźny Tuwimowski rodowód. Należy jednak, i to na korzyść poetki zaznaczyć, że te utwory, mimo tradycyjnej konwencji, są jakby obrane z banałów i odnowione.

Ten pierwszy nurt w poezji Zofii Mikuły wydaje się być – najcenniejszy. W tych, często krótkich wierszach każde słowo waży, nawet odstępy między wersami podpowiadają nam jakiś ukryty sens. Jest w nich jeszcze delikatność wyrazu świadcząca o tym, ile można powiedzieć szeptem, na dotykającym milczenia – wyciszeniu. Bardzo ważne w tej poezji są przedmioty. I tak niezwykle trafne, celne skojarzenia są wyrażane poprzez konkrety, nawet „oderwane myśli, pojęcia” są osadzone w rzeczywistości. Przytoczę tu świetny wers z jednego z wierszy: *Obcas złamany, a noc nadal tańczy*.

Te krótkie wiersze napisane są często w sposób mistrzowski, zacytuję tu wiersz *Karier*. To przecież krystaliczny liryk:

*Boisz się siebie
jak tamtej nocy.*

*Gnały konie przez dolinę,
galopem po wzniesieniach,
by w ciszy
przy wodopoju,
pić i pić!*

*Boisz się
tego pragnienia.*

Ta poezja jest niezwykle uwrażliwiona na ludzki ból i cierpienie. Szczególnie na niesprawiedliwość, która dotyka istot najbardziej bezbronnych, jakimi są dzieci. Tu przejmujący wiersz *Bezradność*, z tym niezwykle fragmentem:

*Obcina krótko włosy,
by nie wołały przytul.*

Także na przykład w wierszu *Marzec 2000* dochodzi do głosu czułość. Jak też, ten „ludzki odruch” w ciekawym wierszu *Drżąco*. Oto fragment:

*Dłoń dotknęła twarzy
– nieco zamyślona.*

W tej książce poetyckiej prawie każdy wiersz jest poszukiwaniem drugiego człowieka, wyrazem tęsknoty za jego obecnością. Zofia Miśko wie, że pośród najważniejszych wartości naszego życia najwyżej należy nam postawić - miłość.

Zbigniew Jerzyna

Wiersze o lanknieniu

Po kilku stronach lektury przyłapujemy się na spostrzeżeniu, że w tych wierszach jest rozmówca. One wyraźnie „są mówione do kogoś”; one „znają swego odbiorcę”. Stąd moja pierwsza konstatacja: poezja Zofii Mikuły jest dialogiem. Nie zawsze przecież tak bywa. Bardzo często liryka wyrasta z takich pokładów samotności, że nie zwraca się już w ogóle w stronę ludzi, a wyłącznie w stronę pustki... Tu, na szczęście – mimo wielu ciemnych akcentów – okna są jeszcze pootwierane i głos chce być słyszalny. Przypomniał mi się w pewnym momencie tej lektury znakomity dystych z Grochowiaka: *Mężczyznę zbudzisz, gdy go dotkniesz, kobietę zbudzisz, gdyś dotykać przestał...* I jakbym tę regułę czytał tutaj: narratorka tych wierszy chce być „dotykana”, to znaczy istnieć swą wyrazistą osobowością w epicentrum życia. Różnych subtelności używa, by to zamanifestować...

Odwieczne i naturalne żywioły liryki erotycznej, jakiej i w tym tomie nie brakuje, budzą się w wierszach Zosi w sposób pokrzepiający: prawdziwym dramatem miłości nie są jej niespełnienia, niedosyty, lecz jej brak. Póki miłość wykrzykuje swój głód i swój ból, póty jest. Jest i walczy „o swoje”, jest i nasąca nas oskoma życia i siłami witalizmu, otwiera solipsystyczny świat na kogoś drugiego i na cały ogrom trwania... Tu znowu małe przypomnienie, małe skojarzenie – ten słynny fragment z *Dancingu* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

*Zwiedły suknie i wachlarz z piór strusich,
czas opada jak chmura szarańczy,
wszystko kończy się prędzej niż musi,
gra muzyka, lecz nie ma z kim tańczyć.
Tancerz miły odszedł w dalszą drogę,
gdzie jest, nie wiem, ani wy nie wiecie,
jeśli tu go odszukać nie mogę,
jakże znajdę go w wielkim wszechświecie?*

...i choć nie zamierzam tych obu poetek tu porównywać, to muszę podkreślić wspólnotę tego charakterystycznego spleenu, jaki budował te i tamte wiersze. Kiedy jednak czytam teksty wyznaczające najwyższy pułap tego zbioru (np. *Alienację*, *Cyklicznie pod rękę...*, *Penelope*), zaczynam rozumieć po raz kolejny, że sedno kreatywnego życia tkwi w ł a k n i e n i u...

Autorka tego tomu demonstuje duży wachlarz możliwości warsztatowych. Te wiersze rozpięte są pomiędzy poezją postskamandrycką a postróżewiczowską; czasami aż proszą się, by zaistnieć jako piosenki, innym razem ich „żywiół filozoficzny” kieruje naszą uwagę w strony ponadartystyczne... Ale jakaś dziwna nić wiąże te liryki, jednoczy różne rytmy, nastroje, konwencje. Chyba znalazłem odpowiedź na ten fenomen w jednym ze zdań poetyckich Zofii Mikuły: *...wiatr Andaluzy jest równie gorący jak zimny jest wiatr* – i takie jest tu wszystko, o czym poetka pisze: niejednoznaczne, niejednolite, złożone, ale zawsze piękne i wystawiające naszą uwagę na szalone przeciągi myśli i uczuć.

Leszek Żuliński

SPIS TREŚCI

KURIOZALNIE

Spotkanie z Faustem / 7
Penelopa / 8
Gościniec / 9
Zmącić białość orchidei / 10
Kobieta i mężczyzna / 11
Kuriozalne z szypułkami / 12
Karier / 13
Obietnica / 14
Taniec chochoła / 15
Verdigris / 16
Niełatwo zatracić cechy strzelca / 17
Pinokio / 18
Ulica dłoni / 19
Wciąż szukasz deszczu / 20
Wierzba / 21
Tak musi być / 22
Spektakl / 23

Z SZYPUŁKAMI

Miasteczko niedostosowanych / 26
Bezradność / 27
Za szafą / 28
Jawa i sen / 29
*** / 30
Cyklicznie pod rękę z nią / 31
Z żółcią w tle / 32
W pozycji embrionalnej / 33
Imię jak rzeka / 34
Sztuka latania / 35

Wizytówka / 36
Jadąc mostem / 37
Alienacja / 38
Pył / 39
Wiersz o jesieni / 40
Pamięć / 41
Przed świtem / 42
Zwyczajna wiadomość / 43
Pod kapeluszem Grochowiaka / 44
Literatka / 45

LIRYCZNIE

Tak naprawdę to nic o mnie nie wiesz / 48
Opus jesienny / 49
Plaża w Gąskach / 50
W kolorze écru / 51
Limany / 52
Nasze / 53
*** / 54
Drżąco / 55
*** / 56
Abisalnie / 57
Tête á tête na Grochowskiej / 58
Sikorka i kochanek / 59
Pan mi mówisz, że ja szalona jestem / 60
Bezbronna / 61
Bryza we włosach / 62
Słońcem / 63

DWUGŁOS KRYTYKÓW

Zbigniew Jerzyna / 66
Leszek Żuliński / 68

